

Złodziejski koncept p. Smitha

Jeden błysk pomysłowości 7 dni zachodu i 5000 dol. zysku

O 500 tombakowych zegarkach — Historia Amerykańska

Jak dalece niewyczerpani są w pomysłowości różni oszuści, dowodzi historia pewnego reklamowego ogłoszenia, w prasie Filadelfji (St. Zjednoczone). Ogłoszenie to brzmiało: „Zna-

leziony wczoraj popołudniu na ulicy X. w pobliżu urzędu pocztowego

złoty zegarek

jest do odebrania w biurze p. J. E. Smitha, ul. Y. numer 287

za zwrot kosztów niniejszego ogłoszenia”.

Następnego dnia, już bardzo wczesnym rankiem zgłosił się do owego biura

jakiś oberwaniec

i oświadczył, że to on właśnie zgubił zegarek.

Smith żadnej nie wyraził wątpliwości, podał przybyszowi zegarek i zapytał, czy to ten właśnie? Gdy przybysz dał odpowiedź twierdzącą, Smith mu oświadczył, że w tej chwili zegarek otrzyma, ale musi

zapłacić 10 dolarów

tytułem zwrotu kosztów ogłoszenia.

Aż 10 dolarów? — zapytał oberwaniec, sięgnął jednak po

woreczek i wysypał z niego po długich szukaniach drobnymi żadaną sumę, uważając, że za złoty zegarek

warto dać 10 dolarów.

Zaledwie ten gość od Smitha wyszedł, natychmiast właściciel biura sięgnął do skrzyni, wyjął z niej

nowy zegarek

i szybko włożył do szuflady biurka, bo właśnie wchodził już inny interesant, który także „zgubił” złoty zegarek.

Z czasem wyjaśniło się, że takich zegarków Smith miał „tylko” pięćset sztuk; że wszystkie one pięknie błyszczwały, ale były nie ze złota, tylko z tombaku; że wskutek tego, iż ludzi chciwych cudzego a jednocześnie naiwnych jest wiele bardzo, Smith w ciągu tygodnia rozsprzedał w Filadelfji

500 zegarków tombakowych i miał za nie 5 tysięcy dolarów.

Made in Germany

Cztery samobójstwa w spiżarni

Trzy zginęły w strasznych mękach, czwartą uratował fałszowany papier

Niemcy trują swoją tandetą

Były sobie takie zwyczajne cztery muszki; dokuczał im głód, więc szukały jakiegoś pożywku.

Jedna z nich zauważyła na stole konfitury, siadła więc, by ich spróbować. Ponieważ konfitury były fałszowane, więc biedna mucha zginęła w straszliwych mękach.

„Niech ten przykład — powiedziała druga mucha — będzie dla nas nauką! Jedźmy od tej chwili tylko chleb”.

Tak też zrobiła. Najadła się chleba; ponieważ jednak zawierał on alun, który jej pokreślił wnętrzności, więc i ta mucha straciła życie.

Trzecia mucha po tych doświadczeniach stała się niezwykle ostrożna; obiecała sobie żywić się tylko piwem. Znalazła właśnie kufel z tym napojem, spróbowała go; że jednak piwo zawierało salicyl,

więc i trzecia mucha poszła śladami swoich obu towarzyszek.

Czwarta mucha, zostawiona samej sobie, wpadła w straszną rozpacz. Czuliła, iż życie dla niej bez sióstr nie ma żadnego uroku, postanowiła też

popęlić samobójstwo;

fałsz, którego ślady spotyka się na każdym kroku, zupełnie odebrał jej ochotę do dalszego istnienia.

I, opanowana temi czarnymi myślami, mucha rzuciła się na wilgotny

arkusz papieru z trucizną na muchy. Lecz im więcej piła tej trucizny, tym śmierć się od niej oddalała. Bo i ten papier z trucizną też był fałszowany.

A wszystkie te wyroby — i konfitury, i chleb, i piwo, i trucizna na muchy — były niemieckiego pochodzenia.

NA SZEROKIM

ŚWIECIE

Pomnik Buffallo-Billa

W latach 1867 i 1868 dawny cowboy William Cody podjął się dostawy mięsa dla robotników kolejowych wielkiej linii „Grand Pacific-Railway” (St. Zjednoczone), pracujących w obrębie stanu Kauzas.

W tych czasach pełno tam było bizonów amerykańskich, żyjących gromadami. Jako dobry przedsiębiorca, Cody wziął się do rzeczy w ten sposób, że wraz z pomocnikami kładł bizony na tysiące sztuk. W jego ślady poszli też inni prześladowcy bizonów, wskutek czego mięso ich tak spadło w cenę, że myśliwym nie opłacało się go zabierać. To też zdzierali jedynie skóry, za które płacono podówczas 65 centów.

Ponieważ nikt jednak nie mógł dorównać w wynikach polowań Cody'emu, więc też uzyskał on przedewszystkiem przydomek „Buffalo-Bill” (morderca bawołów), później od jego nazwiska nadano nazwę małemu miasteczku; wreszcie wystawiono mu pomnik. Jest to zapewne jedyny pomnik w świecie, wystawiony komuś za mordowanie użytecznych zwierząt.

Nie dziwny się jednak niczemu, bo rzecz ma miejsce w Ameryce.

Światowa komunikacja lotnicza

Wielki projekt pięciu arterji światowych

Berlin — New York — Buenos Aires — Kapstadt — Osaka — Melbourne

Koleje, samochody i okręty pośpieszne nie wystarczają już jako środki komunikacji. Coraz częściej pisze się i mówi o samolotach, jako jedynym środku połączenia między poszczególnymi częściami świata.

Podczas ostatniej konferencji imperium brytyjskiego wysunięto realny projekt światowej komunikacji lotniczej.

Obawy, że ceny biletów w komunikacji lotniczej, zwłaszcza na dalekie odległości, byłyby bardzo wysokie, są nieuzasadnione. Szczegółowe bowiem wyliczenia i kosztorysy takich linii światowej komunikacji wykazują, że mogłyby one istnieć bez żadnych subwencji na czysto kupieckich zasadach. Owszem, jest rzeczą niemal pewną, że takie linie powietrzne w krótkim przeciągu czasu zaczęłyby dawać poważne zyski.

Projekt linii światowych przewiduje takie trzy: z trójkąta, łączącego Londyn, Paryż i Berlin, rozchodzący się linie w liczbie pięciu. Jedna

poprzez Atlantyk do New-Yorku.

druga wzdłuż Hiszpanji przez Atlantyk i Brazylję do Buenos Aires (Argentyna), trzecia poprzez Malte, Sacharę wzdłuż zachodniego brzegu Afryki

do Kapsztadu

(kraniec Afryki na południu), czwarta z

Berlina przez Petersburg, Ural, Syberję, Charbin do Osaka (Japonja), wreszcie piąta linia z Paryża przez Malte, Suez, Arabję, zatokę Perską, wzdłuż zachodniego brzegu Indji, poprzez archipelag Malajski i Australję do portu Adelaide (południowa Australja).

Od projektu do wykonania jest jeszcze daleko. Jeżeli jednak przypomnimy sobie, jak wielkie postępy zrobiło lotnictwo w ciągu ostatnich lat 20 i jakie poczyniło zdobycze, — upewnimy się, że w ciągu lat najbliższych pokonywanie przestrzeni na wiele tysięcy kilometrów będzie już dla nas igraszką!



KAPELUSZE JEŚIENNE
pilśnlowe, meloniki (szytywne) i włochate
Krajowe i zagraniczne
M. CIESZKOWSKI
12 Nowy Świat 12.
Tel. 176-93

Z TEATRÓW

„CAR PAWEŁ I-szy”

W TEATRZE POLSKIM

Gdyby „Car Pawła I-go” napisał Adolf Nowaczyński, nazwałby go nie sztuką i nie dramatem, ale kroniką dramatyczną. I toby dopiero była nazwa właściwa. „Car Paweł I” Mieżkowski jest kroniką dramatyczną. Kronika świetnie napisana, z wybornym sportretowaniem głównego bohatera omawianej epoki, z wybornym również zakreśleniem figur naczelnych owego czasu rosyjskiego i z wybornym, jak się to mówi, podmalowaniem obyczajowego tła, albo może raczej z wnikliwym ujęciem owego dreszczu, którym w ową porę drżało czterdziestomilionowe społeczeństwo ostatniej europejskiej despotji.

P. Karol Borowski nie po reżyserku nie uronił z sugestji

autorskich, przejął je wszystkie z znakomicie i oddał na scenie z akcentem wspaniałych efektów. Sztuka Mieżkowskiego miała w teatrze Polskim specyficzna atmosferę knuta i, na pokojach carskich, w blasku balowej zabawy dworskiej, pachniało więzieniem, zalaływało katordą. Imponujące dekoracje Frycza, który w zakresie scenicznej wystawy zdaje się to potrafić, co djabeł z Mickiewiczowskiej „Pani Twardowskiej”, mianowicie wszystko nieprawdopodobne, otóż, te dekoracje olśniewające i razem wymowne, jak ludzie, p. Borowski napełnił tak prawdziwym, naturalnym i charakterystycznym ruchem, tak rozmaite i tak właściwe nadal tempo aktom, scenom, że należało go

na premierze wywołać przed kurtynę, zwłaszcza po obrazie szóstym, p. t. „U spiskowców”, i obdarzyć rzeszestem brawem. Artystyczne wyczucie charakteru, poczucie efektu malarzkiego i poczucie dramatu, z tych trzech momentów pracy reżyserkiej p. Borowski w „Carze Pawle I-ym” złożył triumfująco arcytrudny egzamin.

Pawła gra p. Junosza - Stępowski. Genjalnie. Co za maska! „Kurnosy potwór”, jak sam o sobie mówi ten apokaliptyczny car. Ale jednocześnie zgrabna figura i ruchy pełne tej władczej swobody, tej pańskiej (niearoganczej) wolności, powiedziałbym nieograniczonej wolności człowieka, który wie, że wszystko przed jego gestem ustępuje. W ruchu, w spojrzeniu, w wybuchach i w tklivościach, Paweł Junosza - Stępowskiego zachowuje się niejako... nago, jak dziecko, jak urodzony despoła, czyli jak półbóg, który niczego się nie wstydzi, bo jego oddech rodzi prawa, bo jego mrugnienie powiek

tworzy szczęście otaczającego go świata. Ogromna skala wrażliwości Pawła I-go znalazła w Junoszy-Stępowskim mistrzowski wyraziciela. Przejawy tej nieuporządkowanej duszy, ruchliwej jak żywe srebro, Junosza - Stępowski czyni tak naturalnymi w ich nieustannej zmienności, że trzeba go nazwać nie mistrzem już, ale nadmistrzem, bowiem sposoby, którymi osiąga tę artystyczną prawdę, najzupełniej się wymykają z pod kontroli najczujniejszego krytyka. Paweł I-szy Junoszy - Stępowskiego to wielka kreacja.

Hrabiego Pahlęna świetnie interpretuje p. Samborski dopiero w drugiej połowie sztuki. W pierwszej połowie, w krótkich rozmowkach z obrażonymi oficerami, w natrąceniach na możliwość zemsty nad opętanym carem, p. Samborski za mało jest ostrożny i insynuacyjny jednocześnie, a w wiernopoddanych rozmowach ze swoim monarchą, nie ma dla niego tego entuzjazmu, tego zachwyty, którym usypia dziką podejrzliwość carską,

i nie ma tego serdecznego ciepła, poddańczo rozkochanego w swoim władcy, rozmiłowanego extatycznie w swoim panu, niewolnika-żołnierza. P. Samborski łatwo to przeoczenie naprawi na dalszych przedstawieniach, może je zresztą już naprawił, wyzbywając się z premierą premierowej tremy. W sztuce Mieżkowskiego Pahlen to potężna postać, wielki gracz; dobry patriota, postępowiec, zmuszony przez okoliczności do zawiłych matactw; lew, udający wierne go psa, ponieważ sytuacja zmusza go do posługiwania się metodami lisa.

P. Boelke jako wielki książę Aleksander umiał odświeżyć egzaltowaną, słabą, tak młodzieńczą, że prawie kobiecą, duszę ówczesnego następcy tronu.

Niepodobna wymieniać wszystkich. Wszyscy grali dobrze, a większość grała świetnie. Dawno Warszawa nie miała tak znakomitego przedstawienia.

Wacław Grubiński.